

Dźwiganie z ruin.

Bergenia Sapon doskonale pamiętała dzień Czarnego Słońca, podobnie jak każdy mieszkaniec Ofiru. Wraz z innymi mieszkańcami Velidy i Srebrnogórza pobiegła wtedy na szczyt do świątyni Izosa na Przełęczy i wraz z innymi spędziła ten poranek w pełnym zdumienia i szoku milczeniu. Dziś wspominała tamte chwile bynajmniej nie jako najbardziej przerażające wydarzenie swojego życia, a jako początek kataklizmu, który miał odtąd być częścią życia ich wszystkich. Kataklizmu, z którym walczyli jak umieli swoimi znikomymi siłami. Ale wola przetrwania niziołków zwykle była niedoceniana.

- Amary! – krzyknęła do syna - Gdzie do licha ta taczka? Amarylis!

Młodzieniec przerwał dyskusję nad pustą taczką, jaką toczył z Floksem i Thymusem, znajomymi, którzy obiecali pomóc przy odbudowie karczmy i wszyscy popędzili na plac. W połowie drogi Amary pacnął się dłonią w czoło i na pięcie zawrócił z powrotem na górę. Po taczki. Po czym głośno syknął, gdy pacnięte czoło zabolowało, a świeżo zszyta rana zapulsowała dojmującym bólem.

Bergenia otarła ubrudzoną sadzą dłonią spocone czoło i spojrzała na stertę spalonych belek, desek, kołder i innych sprzętów, które właśnie skończyła wnosić z pogorzelska. Stojąca obok Laurencja Daks, jej kuzynka z Velidy, usiadła ciężko obok. W ruinach krzątało się jeszcze kilkoro niziołków i ludzi, sąsiadów i krewnych, którzy pomagali rodzinie Bergeniei w trudnych chwilach. Część z nich nosiła już bielejące świeżością drewna belki, inni cierpliwie rozbijali ciszę poranka, stukając młotkami w dwóch nowo wybudowanych budynekach.

- Na dolnej półce złożyliśmy wczoraj te belki, z których da się jeszcze coś wykorzystać – powiedziała Laurencja – W tartaku u Yukki udało się załatwić, żeby to przestrugali. A po południu przywiozą nowe belki.

Bergenia westchnęła.

- Dzięki. Co byśmy bez was zrobili. Widziałas, jak Amary wygląda po wczorajszej wizycie tych szmaciarzy?

- Gnoje – warknęła Laurencja – Kiedyś za to zapłacą.

- Nie będziemy za to płacić – oznajmił Sortanus, uderzając rękami o stół tak, że z niepełnych szklanek wylało się piwo – To jest nasz teren i tylko nasz.

Człowiek w zielonym kaftanie nie wyglądał, jakby zrobiło to na nim wrażenie, wytarł tylko krople piwa z rękawa.

- Po co się gorączkować – odezwał się przesłodzonym głosem z wystudiowaną kulturą – Przecież wszystkim nam zależy na tym samym, na możliwości opłacalnego handlu. Liga Kupiecka od lat realizuje ten cel we wszystkich zakątkach znanego świata. Panowie, powinniście dostrzec, co tak naprawdę się wam opłaca.

Sortanus przechylił się przez stół do swojego rozmówcy, a towarzyszący mu ochroniarze spięli się w oczekiwaniu na konfrontację. Pomimo tego, że człowiek w zielonym kaftanie był tu sam i bez broni.

- Słuchaj no, wypudrowany dupku, kontrolujemy tutaj każdy szlak przez góry, każdą szajkę przemytników, do tego ochraniaamy każdy lokal w okolicy, wszystkie zajazdy dla pielgrzymów i karczmy dla miejscowych, każde miejsce, gdzie możesz sprzedać jakikolwiek towar, jest pod naszą kontrolą i każdy właściciel płaci za naszą opiekę. Więc jeśli nie zdecydujecie się na dogadanie z nami, to możecie sobie sprzedawać watę cukrową na festynach! Na to może wam pozwolimy. Jeśli nie, zabieraj we wszystkie piekła tą swoją faktorię, zanim puszcze ją z dymem!!

Ochroniarze poparli ton swojego szefa groźnymi minami i dłońmi na broni. Bezskutecznie.

- Szanowny panie – uśmiechnął się dyplomatycznie człowiek w zielonym kaftanie – Pana zwierzchnik, obawiam się, nie posiada odpowiednich danych, czego jestem pewien, bowiem nie posądzam tak rozważnego człowieka o niewłaściwą ocenę sytuacji. A rzecz ma się tak, że niewątpliwa oczywiście wasza dominacja w tym rejonie spowodowana jest dwoma czynnikami, cłem, jakie na towary luksusowe nałożyli szaleńcy w Itharos oraz ... tym, że dotychczas potężne organizacje ze wschodu uważały ten stan za przejściowy. O ile ten pierwszy czynnik pozostanie stały, o tyle ten drugi właśnie ulega zmianie. W niedługim czasie pan, panie Sortanus, oraz pana szef, staniecie przed wyborem. Otóż, o ile w waszych oczach bezsprzecznie jesteście złem, o tyle niedługo dostrzeżecie, że istnieje też zło znacznie większe niż my. Niedługo złapie was za gardło i grzecznie poprosi "wybieraj bratku, ja albo tamto, trochę mniejsze". Oczywiście, nie wymagamy od was natychmiastowej decyzji, tak biegli w interesach fachowcy potrzebują czasu na rozważenie tak ważkich spraw. Tutaj – położył na stole zalakowaną kopertę i przesunął ją w kierunku rozmówcy – znajdziecie kilka... argumentów, które pomogą podjąć tą decyzję.

Człowiek w zielonym kaftanie wstał, uśmiechnął się uprzejmie i uklonił gospodarzowi oraz nastroszonym ochroniarzom, zapiął kaftan i wyszedł. Nikt za nim nie poszedł ani nikt mu się nie naprzykrzał, chociaż wracał do faktorii Ligi Kupieckiej samotnie w środku nocy.

- Powinnaś zaprowadzić go do tego uzdrowiciela spod kapliczki. W zeszłym tygodniu urządzili tak samo rodzinę Incarvilla – Laurencja stęknęła, podnosząc z trudem kolejną spaloną belkę – Kara boska ich nie minie, ja ci to mówię! - Boska? – westchnęła Bergenia – Amary! Pomóż nam proszę z tymi belkami! Dzięki, kochany, są trochę ciężkie. Boska? Laurencjo, bogowie mają ostatnio swoje dziwne sprawy, naprawdę sądzisz, że obchodzi ich nasza krzywda?

Kolejne nadpalone belki wylądowały na stosie, gotowym do przewiezienia do tartaku. Właśnie nadjechał wóz i wszyscy, pracujący przy odbudowie, zostawili pogorzeliśko i podeszli pomóc przy rozładunku. Świeże, pachnące belki i deski powędrowały na dolne półki, na których widać już było odsłonięte murowane fundamenty i podwaliny. Dwa świeżo wybudowane domy pielgrzymów wyróżniały się już z soczystej zieleni, trzeci prężył ku niebu żebra nowiutkiej więźby dachowej. Zniszczone belki wpakowano na wóz, który dwa znudzone muły pociągnęły w kierunku tartaku. Wszyscy pracujący zaczęli rozchodzić się po pogorzeliśku, wracając do poprzedniej roboty, ale przerwał im okrzyk kolejnego woźnicy. Ten z kolei przywiózł okrągłe bele i żerdzie. Na częstokół. To był pomysł Bergonii. W zniszczonym zajeździe domy zastąpiły nie tylko wcześniejsze spalone budynki, ale także stare namioty dla pielgrzymów, na które od dawna już nakładali dodatkowe płachty dachowe, bo stare przeciekały. Skoro już, uznała gospodyni, los każe zaczynać od nowa, to zacznijmy chociaż porządnie. I na przyszłość... bądźmy przygotowani. Warowna brama i palisada nie miała szans powstać przed nadchodzącym sezonem letnim i Bergenia o tym wiedziała, ale liczyła chociaż na to, że uda się ją skończyć przed zimą i ochronić mieszkańców zajazdu przed panoszącą się wokół grozą. Zajazd Bergonii był ważnym dla okolicy miejscem. Od pokoleń prowadzony przez tą samą rodzinę,

przyjmował w gościnne progi pielgrzymów, którzy, zwłaszcza pod koniec miesiąca mezhaven, w święto Izosaiów w letnie przesilenie przybywali do drugiej co do wielkości świątyni Izosa w Ofirze. W miesiącu guera znowuż, oprócz pielgrzymów, gościli tu oficjele i dostojnicy, obserwujący boże igrzysko w pobliskiej świątyni Wessiego, gdzie miejscowy pretor (sędzia) poddawany był sądowi świętego źródła. W czasie letnim tu zwykle odbywały się festyny w święto Gabonitum i wówczas progi zajazdu gościły żniwiarzy i robotników z okolicznych winnic. Tutaj organizowano zimowe bale pokoju w święto Ara Pactis i wspólne uczty w wiosenne Widalia. Wreszcie, przez cały okrągły rok nocowali tutaj i posilali się pielgrzymi, odwiedzający świątynie Izosa i Wessiego, a także podróżni, pragnący zobaczyć na własne oczy rajską dolinę Velidy i spróbować tutejszego wina.

Tworzone przez pokolenia dobra – budynki, ozdobne meble, łaźnie, magazyny pełne wina, namioty dla pielgrzymów – wojna pochłonęła w jedną noc. Przez ostatnie jednak osiem lat rany powoli zablizniały się i przy pomocy sąsiadów zajazd Bergonii powstawał z popiołów, odnowiony i świeży, skromniejszy niż poprzedni, ale niebrzydki.

Życie, śmierć i wątpliwości.

- Laurencjo, jestem wam tak ogromnie wdzięczna, kochana – powiedziała Bergenia, kiedy w zapadającej szarości zmierzchu kończyli pracę – Sami nigdy byśmy nie zdążyli do Izosaiów... – zawiesiła głos, zdawszy sobie sprawę, że jak wszyscy zresztą, odruchowo przyjęła, że dawny rytm życia, że święta, plony, festyny... że to wciąż istnieje – No tak, na Izosaie raczej nikt nie przybędzie. Ale niedługo potem Wessedarum i Gabonitum, na pewno przyjadą pielgrzymi i goście. Tegoroczny festyn Gabony urządzi szlachetna rodzina Tynagiron, chociaż Theo wciąż jest w żałobie po braciach. Ich siedziba rodowa jest w ruinie, a goście będą musieli gdzieś spać. No i ktoś musi im ugotować poczęstunek...

- Do Wessedarum na pewno skończymy, ale kto pójdzie do świątyni, skoro pretorissa...

- Taaak. Nie wiem, słońce. Może właśnie ktoś z Tynagironów. Albo mer miasta. Dobrze – tu Bergenia podniosła głos, tak, żeby słyszeli wszyscy robotnicy – Moi drodzy, nie mamy wiele, żeby się wam odwdziżyć za tą pomoc, ale wino owocowe i placek z truskawkami się znajdzie. Chodźcie wszyscy do karczmy, zapraszam!

Radosny chór głosów sprawił, że hobbitka uśmiechnęła się szeroko i ochoczo podwinęła rękawy. Do szorowania rąk, zamiast spalonej umywalni, służyły wiadra i miski z wodą, ale karczma miała już ściany i dach, nowe kandelabry i drabiny na antresole, a stare stoły i ławy udało się przestругać i wyszlifować ze spalenizny. Podłoga była nawet lepsza niż ta stara, a kanciapka, w której Bergenia trzymała narzędzia, nie przeszkadzała już przy bufecie, przeniesiona na sam tył karczmy. W chłodni tężało przepyszne hobbickie ciasto z truskawkami według babcinych przepisów, a w ustawionych za tylną ścianą beczkach dojrzewało piwo. Zeszłoroczne wino z Velidy kurzyło się w butelkach w kanciapce, czekając na towarzystwo tegorocznych gronowych wytworów, które dopiero za kilka miesięcy, pod koniec lata, miały do nich dołączyć. Bergenia zawiązała paskiem łyka przyniesiony z dworu bukiet chabrów i podagryczniku i ustawiła go w słoiczku przez stojącą w rogu przy drzwiach figurką Arne. Przy malutkim ołtarzyku paliło się małe magiczne światełko, symbolizujące opiekę bogini domowego ogniska nad tym domostwem. Pochyliła głowę i wyszeptowała cicho formułkę modlitwy, po czym strzepnęła fartuch i usiadła na bufecie, patrząc na rozmawiające i śmiejące się

towarzystwo, a gdzieś w zmęczonym umyśle uśmiechnęła się do niej prosta myśl "wszystko będzie dobrze" i to była niezwykle krzepiąca myśl. Właściwie to tylko ona dodawała sił pogorzelncom przez całe ostatnie dwa lata. Westchnęła. Trzeba jeszcze przygotować wieczorną uroczystość. Wyciągnęła spod bufetu wielki kosz piknikowy i wpackowała do niego paczkę świec i kadzidło. I kawałek ciasta.

Krzyk, który rozległ się na dworze, wystraszył ją tak, że upuściła ciasto na podłogę. Do karczmy wpadł Floks, drąc się wniebogłosy:

- Potwory! Idą potwory!

- Psiakrew! - zaklęła hobbitka, podnosząc z podłogi utyłane ciasto - szkoda, żeby się marnowało - mruknęła i otrzepała z piasku, odkładając na bok. W międzyczasie minęli ją biegnący ku drzwiom ludzie i niziołki, z Amarym na czele. Zanim wytarła ręce z kremu, wyciągnęła spod bufetu mały arbalet, znalazła woreczek z pociskami i wyszła na zewnątrz, było już po wszystkim. Czego oczywiście specjalnie nie żałowała.

- Co tym razem? - zapytała, widząc jak Amary i jego koledzy wloką w dół brunatne, pokraczne ciało.

- Nie wiem, mam - odpowiedział Amary - Wygląda trochę jak trupojad, bo się do cmentarzyka dobierał, ale jakiś innej barwy. Poprzednie były takie niebiesko-sine. Właściwie to już dawno nie nadążam za tym, one się chyba mnożą między sobą, czy co. Na szczęście jeden był i jakiś rachityczny.

- Na szczęście - mruknęła - no to jest koniec dyskusji. Od jutra rozwieszam ogłoszenia o wynajęciu łowcy potworów.

Laurencja, wycierając kraciatą szmatką z koronką zakrwawione widły, którymi przed chwilą dobiła stwora, jęknęła.

- Ale czy stać cię na to, moja droga? Wiesz, ile tacy biorą? A przecież trzeba jeszcze skończyć budowę, a potem jeszcze opłacić tych bandytów, do tego magister podobno zarządził podatek... to zresztą też bandyta, tylko inaczej wygląda.

- Od samych Widaliów noszę codziennie rano ofiary do figurki Gabony, tej na rozstaju - powiedziała Bergenia - Może mnie wysłucha i plony w tym roku będą dobre. Może chociaż ona nas wysłucha...

Laurencja z powątpiewaniem spojrzała na kuzynkę. - Wiesz. Całe pokolenia baliśmy się, że wrócą barbarzyńcy, ale ufaliśmy, że Miasto nas obroni. Miasto ufało obietnicy Rega, że póki nas ochroni od barbarzyńców, będzie bezpieczne. I spójrz, ochronili nas przed barbarzyńcami, a i tak Miasto zburzone, a Dolina spustoszona. Czasem zastanawiam się, czy nad tym chaosem ktokolwiek panuje...

Pamięć. Bez wątpliwości

Kilka godzin później, gdy zbliżała się północ, Bergenia, Amary z Floksem i Thymusem, Laurencja i inni z rodziny Daksów, hobbici i ludzie, wyruszyli ku Mogile. Szli w milczeniu, oświetlając sobie drogę świecami, latarniami i pochodniami. Po drodze dołączali do nich kolejni, robotnicy z winnic Velidy i arystokraci ze Srebrnogórza, pojawił się mer miasteczka Varazes Tryfon, byli Theo ev.

Tynagiron, Faustus ev. Flavianus i Atipatra ev. Bobila, przedstawiciele starych rodów, ci, którym udało się przetrwać...Szli w milczeniu, nie rozmawiając, na samotny szaniec, który dziś nazywali Mogiłą. Rozmigotany orszak ciemnych cichych postaci. Każdy z idących w pochodzie pograżał się w niewesołych wspomnieniach sprzed dwóch lat.

- Nie słyszę, co on mówi? – zapytał Plato Tynagiron, przekrzykując wicher – Co on, u diabła, mówi?

Jeździec zbliżył się nieco do obwarowań, z tej odległości było już widać płaty piany, spadające z szyi wierzchowca. Kopyta rozbryzgiwały błoto, sprawiając wrażenie, jakby poruszali się w burej chmurze. Pontekonter Eudeamon wyszedł na wał i osłonił oczy, by lepiej widzieć. Wydawało mu się, podobnie jak pozostałym, że słyszą wyraźnie jedno słowo. "Satrum". Drugie słowo słyszeli niewyraźnie i niejasno, brzmiało zupełnie jak "zdobyte".

Żołnierze 19. pontekostii nie byli wiarusami, średnia wieku nie przekraczała 20 lat. Nie licząc samego Eudeamona, o którym chodziły legendy, jakoby miał uczestniczyć w wojnie z Wergundią w pięćdziesiątym ósmym, reszta, to były młodziki. Niektórzy, jak Plato, choć byli z możnych rodów, odbywali służbę wojskową od najniższych stopni, bo taki panował zwyczaj, każący możliwym poznać dolę rekruta. Inni, pochodzący z okolicznych osad i wiosek, zaciągnęli się do armii w obliczu nagłego zagrożenia z różnych przyczyn - licząc na przygodę, próbując spełnić obowiązek, wypełnić rodzinną tradycję albo po prostu zarobić. Żadne z nich, łącznie z doświadczonym pontekonterem, nie przewidywało sytuacji, w jakiej się znajdują.

Jeździec w końcu dotarł do wału, błoto i biała piana z końskich boków bryznęły im na twarze. Kilku żołnierzy wyskoczyło z szeregu, jeden złapał w ramiona zsuwającego się posłańca, inni złapali za uzdę konia, ktoś poluzował popręg, ktoś inny rzucił przyniesiony z obozowiska koc i pobiegli z nim truchtem wzdłuż muru, ratując mu życie. Dopiero z tej odległości zobaczyli, że żołnierz w zbroi ze znakami 5. hetajry ma lewy bok spalony ogniem i długą krwawą pręgę od barku aż do lewego biodra, jakby uciekającego cięto po plecach dobrej jakości ostrzem.

- Mosty w Satrum zdobyte – chociaż jeździec szeptał, tym razem usłyszał to każdy z setki skupionej na wale pod górą Kapliczką, u progu Doliny Velidy – Idą na Miasto. Żołnierz, trzymający w ramionach posłańca, podniósł niepewny wzrok na pontekontera. Ten ciężko usiadł na wale.

- Stoimy im na drodze – odezwał się niepewnie ktoś z tyłu – Chyba powinniśmy...

- Z Satrum są dwie godziny drogi – powiedział Eudeamon – Będą tu za dwie godziny. Do Miasta potrzebują dalszej doby. Będą się spieszyć by tam dotrzeć... ale nie aż tak, by nie zahaczyć o Velidę.

- Jest nas setka... – powiedział któryś z piechurów – Przecież ich nie zatrzymamy...

- Nie – Plato był pierwszym, który odgadł myśl pontekontera – Ale jeśli opóźnimy marsz tutaj, będą musieli spieszyć się pod Miasto, by zdążyć przed nadejściem Tulos i nie będą mieli czasu na zniszczenie Velidy i Srebrnogórza.

- O ile możemy opóźnić ten marsz – krzyknął ktoś z tyłu – Godzinę? Dwie? Przecież to nic nie zmieni!

- W górach wzdłuż drogi do Miasta są kolejne posterunki, przecież nie jesteśmy jedyni.

- Więc uciekajmy do Miasta!

- Nie ma szans, nie zdążymy, dopadną nas w drodze!

Oficer w milczeniu pokręcił głową. W oddziale zapadła ciężka cisza, przerywana tylko bębnieniem deszczu o helmy. Aż wreszcie rozległo się to, co paradoksalnie wszystkim, przerażonym i przejętym młodym ludziom na barykadzie dodało otuchy.

- Ad signa! – głos pontekontera brzmiał chłodno, metalicznie i pewnie jak nigdy dotąd – Oddział zbiórka i wysłuchać rozkazu!

Wysłuchali. Godzina na poprawienie barykady, stok poniżej obwarowań był pełen gruzu i kamieni, poprawili też zwalonymi pniami, które wytargali na górę, a nawet workami z ziemią, z których uprzednio wypakowali prowiant. Pół godziny na poprawienie uzbrojenia. Dokładne dociągnięcie paska od hełmu pod brodą, żeby przypadkowe uderzenie nie pozbawiło możliwości widzenia. Staranne zasznurowanie sandałów. Zawiązanie pasa od korda tak, by wyciągało się go jedną ręką i jednym ruchem. Odłożenie rzeczy niepotrzebnych. Rzeczy niezbędnych – przydzielowe eliksiry zasklepiające, bandaże – umieszczenie tak, by można było je wyciągnąć choćby zębami. W większości wylądowały w karwaszach lub pod naramiennikami. I dalsze pół godziny – na ustawienie szyku, pospieszne przeciwiczenie komend. Mądry, doświadczony dowódca nie zostawił ani minuty zbędnej na zastanawianie się nad tym, jak wspaniale było urodzić się i spędzić młodość w najpiękniejszym miejscu świata, na niepotrzebne sentymenty, na rozważania szans na przeżycie czy ucieczkę. Pozwolił sobie na jedną tylko, króciutką chwilę. Gdy cała setka stała już w równych szeregach, wsłuchana w bębniące o metal krople deszczu i wpatrzona w idącą przez równinę pięciotysięczną armię, której pierwsze forpoczty wylaniały się właśnie zza załomu góry, odwrócił się do nich i powiedział

- To nie jest na darmo, dzieci. Robimy to za tych, co zostali w dolinie, żeby oni nie musieli.

Eudeamon, jak każdy dobry dowódca, posiadał pewną intuicję, która pozwalała mu wiedzieć, czego potrzebują najbardziej w danej chwili jego żołnierze, co jest kroplą, która przeważy szalę między chęcią ucieczki na oślep, a niebывałym bohaterstwem. Dwa wypowiedziane zdania, sprawiły, że każde z tych młodych chłopców i dziewcząt zobaczyło przed oczyma bliskich, a obraz ten zlał się z realnym kształtem atakujących wrogów, istot o potwornych, obcych i nieludzkich kształtach. Szala została przechylona. Nikt nie uciekł.

Rok w rok od ośmiu lat, od początku miesiąca guere przez Velidę i Srebrnogórze szły nocami takie procesje, jak ta. W milczeniu, skupieniu i tajemnicy szły na mogiły, usypane pospiesznie i równie w tajemnicy na barykadach, fortach, szańcach i umocnieniach, wszędzie tam, gdzie oddziały takie jak ten Eudeamona, stawiały opór maszerującej z południa armii najeźdźczej, opóźniając ich marsz na Messynę i zmuszając do pośpiechu, a tym samym chroniąc Velidę i Srebrnogórze przed pierwszym, niszczycielskim uderzeniem. Osadzone przez zwycięzców marionetkowe władze karały śmiercią za uczestnictwo w tych procesjach, ale one szły niezmiennie i nikt nie odważył się jeszcze zaatakować wprost żadnej z nich. Co miesiąc na mogiłach pojawiały się świeże kwiaty, świece i amulety. W każdą rocznicę odbywały się ciche rytuały, na których palono ognie i śpiewano stare pieśni, a w Toledinium, w miesiącu du, gdy cały Ofir oddawał cześć duchom przodków, na mogiłach pojawiały się dzieże z jadem i młodym, jesiennym winem.

Także tym razem, gdy Bergenia i Laurencja szły w zamyśleniu przez nocny las ku mogile u stóp góry Kapliczki, nikt ich nie zaatakował, milicja na usługi wyznaczonego przez Itharos magistra nie odkryła

pomimo (bez wątpienia!) ogromnego zaangażowania, kilkudziesięcioosobowego zgromadzenia. Nie odważyliby się, pomyślała Bergenia. Gardzą nami, niziołkami, ale mają resztki rozsądku. Wiedzą, co potrafimy, doprowadzeni do rozpacz. A rozpacz, zaiste, jest częścią naszego życia.

Dłoń hobbitki zacisnęła się na trzymanym w kieszeni małym sztylcie, a wzrok mimo woli powędrował w kierunku idącego przed nią syna, pod którego obszernym płaszczem rysowała się wygięta linia łuku. Wspomnienia powiodły ją o krok dalej....

- Amary, nie!!!! Nie wracaj tam! – wrzeszczała, jednocześnie wyszarpując spod przewróconego kredensu skrawek sukni. W końcu nie mogąc go wydostać, sięgnęła po trzymany zawsze w kieszeni sztylcik i odcięła materiał – Amary!

- Jestem, mamó – syn ogarnął ją ramieniem, w drugiej ręce zobaczyła łuk i strzały – Musiałem wrócić po łuk dziadunia Greeda, to najcenniejsze, co nasza rodzina posiada – wytłumaczył się pospiesznie, bo płomień i czarny gryzący dym wypełzały już spod drzwi spiżarni.

Wydostali się na zewnątrz, z trudem łapiąc powietrze. Na podwórku trwało zaplanowane zniszczenie. Jeżdżący tam i z powrotem jeźdźcy na wielkich koniach, z pochodniami w rękach podpalali kolejne zabudowania, krzyczeli polecenia w języku, którego nikt tu nie rozumiał, trawili tych, którzy nieopatrznie nie zeszli im z drogi. Ktoś toporem rozwałił drzwi od stodoły, ktoś inny wynosił z płonącego już magazynu butelki z winem. "argentileta" pomyślała hobbitka "rocznik 35, najdroższe możliwe". Nie pamiętała, dlaczego właściwie tak uczepiła się tej myśli, że z krzykiem rzuciła się na rabusia, wciąż trzymając w ręce swój sztylcik. Obie butelki spadły na kamienie, a krew zmieszała się z winem, z sykiem spływając w płomień. Dopiero gdy upadł, zobaczyła jego twarz, która w połowie była drzewem z twardej, zrogowaciałej kory. Amary coś krzychał, odciągając ją, ale nie pamiętała, co. "Argentileta" powtarzał jej głos w głowie "rocznik 35!". Gdy wybiegli poza płonące zabudowania, chłód nocnego lasu oprzytomnił ją na tyle, że dostrzegła innych, którzy oprócz nich wydostali się z piekła. Agresorzy ewidentnie dostali rozkaz "ludzi wygnać, zabrać prowiant, resztę spalić" i wedle tej reguły postępowali, więc na skraju lasu zgromadziła się spora grupka obdartych, umazanych sadzą i poranionych ludzi i niziołków. Ktoś płakał w głos. Ktoś krzychał wyzwiska w bezsilnej wściekłości. Wyrwała rękę z dłoni syna i zawróciła w kierunku zabudowań, bezwiednie i nieprzytomnie. Kilka osób stało tam, nieco bliżej pożaru, krzycząc coś niezrozumiale. Spojrzała tam, gdzie patrzyli i zobaczyła go. Najeźdźcy wypuścili konie i owce ze stajni, ale nie mogli wiedzieć, że w osobnej komórce stał Bill, muł narowistej rasy, którego trzymali osobno, bo gryzł inne zwierzęta. Komórka płonęła, oszalałe ze strachu zwierzę szarpało stalowym łańcuchem, a jego krzyk przebijał się nawet przez ogłuszający huk płomieni. Bergenia rzuciła się w kierunku komórki, ktoś złapał ją w pól i zatrzymał. Pamiętała swój wrzask, krzyk, którym niemal się udusiła, szarpiąc się w objęciach trzymającej ją sąsiadki. Pamiętała też twarz Amarego, gdy podnosił do mokrego od łez policzka rękę, uzbrojoną w strzałę. Jedną. Drugą. Kolejną. I kolejną. Już druga strzała trafiła zwierzę w oko, kończąc cierpienie, ale strzelał dalej, jedna za drugą, jak w transie, aż został mu w ręce pusty łuk. Piękny, ozdobny łuk dziadka, który odzyskali po poległym w dalekich krajach południa kuzynie, odesłany przez jakąś elfkę. Rzucił go na ziemię i opadł na kolana w ślad za nim. Pamiętała każdą sekundę, kiedy siedziała przy nim i każdą łzę, a było ich wtedy naprawdę dużo. Pamiętała każdą sekundę tamtej nocy. Smród pożaru, gęsty tłusty dym, w który obracał się dobytek życia ich i kilku poprzednich pokoleń. Ciszę nad ranem, kiedy już ucichły płomień, a zmęczeni płaczem mieszkańcy kulili się z zimna pod drzewami, albo w dymiących resztach próbowali wygrzebać cokolwiek, co ocalało. Ciche szepty modlitw kapłanów i krzątającego się wśród rannych uzdrowiciela w szarej szacie. To miło,

pomyślała wtedy hobbitka, miło z jego strony, że tak nam pomaga, przecież dopiero co przybył w te strony. Pamiętała całą tę upiorną noc i kolejną i następną, spędzone w lesie w strachu przed krążącymi po okolicy maruderami. I powrót do spalonego zajazdu, i pogrzeby poległych, i wszystkie niewysłuchane modlitwy, które popłynęły w niebiosy.

Tak. Bergenia dobrze wiedziała, dlaczego milicja magistratu w guerowe noce trzyma się z daleka od mogiły pod Kapliczką i uparczywie znajduje sobie zajmujące zajęcia tak, by nie widzieć ludzi, idących ze świecami w tym kierunku. Bo wiedziała, że dzieli swoje wspomnienia z wszystkimi mieszkańcami Velidy i Srebrnogórza. I wiedziała, że choć na codzień wybierali życie w podporządkowaniu w zamian za spokój, to w tamte noce, gdy spotykali się na mogiłach poległych, wystarczyłaby mała, mała iskra i żaden wróg nie wyszedłby stamtąd żywy. Tym bardziej, że nie tylko rolnicy i karczmarze szli w tych pochodach.

Miasto.

- Padnij! – wrzasnął tagmatos, mistrz alchemii i bojowej magii. Ostatnią sylabę okrzyku zagłuszył huk wybuchającego pocisku. Kilka biegnących ulicą istot – potworów, jak nazywali ulundo obrońcy miasta – spłynęło bezwładnie po ścianie kamienicy, na którą odrzuciła ich siła wybuchu. Ennodius, tagmatos miasta Messyna, fuknął z satysfakcją i wyciągnął z przytarganego na mur działowy wora kolejne dwa pociski. Kilku żołnierzy, z czego jeden w randze hetajrona, podniosło się z bruku, na który padli po okrzyku alchemika.

- Patrz, w kogo rzucasz! – krzyknął jeden w kierunku muru, ale jego okrzyk utonął w panującym zgiełku. Ewakuowani z dolnych dzielnic do parku świątynnego cywile krzyczeli i czynili mnóstwo chaosu. Eskortujący ich żołnierze z 10. i 11. pontekostii, zwykle służący na prowincji, nie potrafili zapanować nad przerażonym tłumem. Przez hałas przebiegał się donośny głos szkolonego herolda wojskowego:

- Drugie i czwarte na Dolny Zamek! Drugie i czwarte na Dolny Zamek!

Trójka żołnierzy ze znakami 1. hetajry w drugim lokos spojrzeli po sobie i pobiegli uliczkami, mieszając się z innymi, biegnącymi w tym samym kierunku.

Na Dolnym Zamku trwały już walki. Nieliczne grupki fenomenalnie sprawnych ulundo, które przedarły się w głąb miasta po dachach domów i blankach murów, były tylko preludium do tego, co działo się tutaj. Mury Dolnego zamku wznosiły się na blisko 20 m ponad dachami zewnętrznej dzielnicy Przedmurze jednolitą, potężną ścianą, częściowo budowaną na żywej skale. Przedmurze płonęło, a w kłębach gęstego dymu żołnierze 1. hetajry widzieli wrogów, pełzających po murze jak robactwo, nieludzkim sposobem trzymających się ściany, uderzających falą za falą na zewnętrzny wał.

Elitarna, 1. hetajra to była najlepsza kawaleria Messyny, ale konie dawno ewakuowano z miasta, a na murach przydawała się każda para rąk, zwłaszcza, że kawaleria słynęła z szybkiego i celnego miecza. Toteż cięli celnie i szybko, raz za razem, w każdy ukazujący się zza krawędzi muru zmutowany łeb.

Hetajron dostrzegł skrzydlaty znak drungariora i oddał komendę nad odcinkiem, by podbiec po rozkazy. Zasalutował dowódcy miasta, pierwszemu po strategosie, a obecnie, w warunkach trwającego

już czwarty tydzień oblężenia, w ogóle pierwszemu dowódcy mory messyńskiej, po tym, jak strategos poległ pod Satrum.

- Ile się utrzymacie? – Apion, drungarior Messyny, był to człowiek w wieku podeszłym, po którym znać było życie spędzone w wojskowych obozach – Ile czasu pierwsza utrzyma odcinek? Po waszej zachodniej jest czternasta pontekostia, a za nią znów kawaleria z drugiego logos, wspierana przez milicję cechową z miasta. Po wschodniej macie tylko mieszczan, bo ustawione enomy z drugiego lokos zostały zniszczone w ostatnim szturmie. Jeśli macie duże straty, będę musiał was kimś podeprzeć

! - Panie! – hetajron nie miał wątpliwości – Strat prawie nie mamy! Utrzymamy tyle, ile będzie konieczne! Aż przybędzie Tulos!

Gdy potem zastanawiał się nad tamtą chwilą, rozważał, czy przypadkiem nie sprowokował bogów do jakiejś reakcji. Bo to, co wydarzyło się w chwilę później, wyglądało jak kuriozalna odpowiedź na jego lekko pyszałkowaty meldunek. Na Przedmurzu dało się słyszeć surmy i szturm na mury Górnego Zamku ustał. Zniekształcone stwory zatrzymały się w swoim upartym marszu pod ich koncerze i spełzły w dół. Na całej długości muru Dolnego Zamku rozległ się gromki okrzyk triumfu obrońców, w dół poleciały kamienie i śmieci z pozdrowieniami dla przeciwników. Surmy odezwały się znowu, i znowu, zbliżając się do murów i zaniepokojeni dowódcy odcinków wychylili się znad krawędzi, próbując przebić wzrokiem kłęby dymu poniżej nich. Zostali wyręczeni. Na Przedmurzu dał się słyszeć zatykający uszy huk i centralnie rozchodząca się fala dźwiękowa rozproszyła dymy niemal zupełnie. Oczom obrońców ukazał się długo wyczekiwany i wytęskniony widok – nad dachami niskich budynków i czerwieniejącymi cegłą ruinami powiewały sztandary Tulos – czarny dwugłowy orzeł na tle purpury i złota, na długich proporcach górowały nad profilem Eutyka na białym tle, herbem zjednoczonego Ofiru. Na murach zerwały się wiwaty i okrzyki, ale niemal natychmiast umilkły.

Zobaczyli ją.

Z wysokości murów nie wydawała się wielka, ale każdy z obrońców miał wrażenie, że jest od niego na wyciągnięcie ręki. Piękna kobieta w sukni koloru zaschniętej krwi przeszła wzdłuż rozstępujących się oddziałów, a sztandary Tulos jeden za drugim kładły się pod jej stopami. Przeszła, ostentacyjnie depcząc po nich i zatrzymała się na pustym placu, który kiedyś był podmiejskim targiem. Uniosła rękę.

Po sekundzie obrońcy również podnieśli ręce, ale po to aby zatkać sobie uszy, niektórzy rzucali się na ziemię, inni krzyczeli, kilku rzuciło się z murów. Bo w ich umysłach rozległ się świdrujący donośny głos. "Tulos przestało istnieć. Ofir przestało istnieć. Zostaliście sami! Oddajcie koronę!"

Przez tydzień, który nastąpił po tej straszliwej chwili, hetajron przekonał się naocznie, co znaczy słowo "morale". Tamtego popołudnia, na murach Dolnego Zamku zostało bowiem spektakularnie złamane. Walczącym odebrano cel i sens ich walki. Nie było już Ofiru, nie było o co walczyć. Jedynym sensem stawała się jak najdrożej okupiona śmierć. Z tą ponurą perspektywą pogodzili się nawet mieszczanie, którzy gremialnie wychodzili na mury, czy to z bronią, czy z gołymi rękami do pomocy, do rzucania kamieni czy gaszenia pożarów. Głębokie przeświadczenie o zbliżającej się śmierci towarzyszyło obrońcom w każdej minucie ostatnich dni Miasta.

W sztabie kratistosa Doreusa Mavrosa na miejskiej cytadeli nastroje były identyczne, jak w całym mieście.

- Pod Ardeią wojska Tulos zostały unicestwione – zaczął, bo ktoś musiał przerwać milczenie – Tulos zdobyte, Korathia zdobyta. Arethyna ogłosiła neutralność. Itharos nas zdradziło i wspomaga wrogów. Ofir przestał istnieć. – zawiesił głos – Chcę znać zdanie Senatu.

- Znasz nasze zdanie, kratistosie – odezwał się jeden z dostojników, szlachetny Tavros z rodu Kareunos, logoteta – minister skarbu – Jesteśmy z tobą, panie. Miasto się nie podda i nie otworzy bram.

- Ile zostało z mory? – zacisnął zęby Doreus – Ilu mamy żołnierzy?

- W Satrum straciliśmy trzecie i piąte lokos, wraz z dowódcami i wodzem naczelnym – odezwał się jeden z dwóch obecnych polemarchów, po kawaleryjskich oznaczeniach i butach można było rozpoznać dowódcę messyńskiej konnicy – Mamy w mieście dwa lokos piechoty i kilka hetajr spieszonych kawalerii, w tym Pierwszą. Są też dwie pontekostie zwiadu.

Odpowiadając na pytające spojrzenie kratistosa kolejni dowódcy meldowali swoje zakresy działania.

Zabrakło tagmatosa Ennodiusa, dowódcy magów i alchemików. Oraz iatrikona, dowodzącego szpitalem polowym. Obydwaj polegli rano w zaatakowanej przez ulundo dzielnicy.

- Gwardia Varangi umiera, ale się nie poddaje – zakończył ten przegląd komnen fiordyjskich wojowników, Bors Asmundson z Ynneyar – Niech przyjdą z żądaniem złożenia broni. Od moich ludzi usłyszysz tylko jedną odpowiedź: a gówno!

Kratistos uśmiechnął się pod wąsem.

- Tak więc mamy niespełna siedmiuset żołnierzy mory, czterdziestu Fiordów, setkę milicji miejskiej, blisko dwa tysiące uzbrojonych mieszczan, zapasy na....?

- Tydzień – odparł drungarior – Ale mamy zabezpieczone studnie.

- Więc utrzymamy się dwa tygodnie.

Utrzymali się sześć. Pierwszy padł Dolny Zamek. Zupełnie, jakby mury, które raz zobaczyły Ją, przestały sprzyjać messyńczykom. Sprowadzone z Itharos trebuszety i onagery gruchotały dachy dzielnic pociskami, naprędce robionymi z kawałków tych murów. W kolejnych dzielnicach, w desperackiej walce, ginęły kolejne enomy, kolejne pontekostie messyńskiej armii. Żywi obrońcy wycofywali się do Górnego Zamku, siedziby senatu i kratistosa, który sam całe dni spędzał na murach, walcząc w otoczeniu swojej gwardii jak każdy inny mieszkaniec miasta.

Z 1. hetajry zostało niespełna dwudziestu. Hetajron tamtego dnia pożegnał się z nimi wojskowym salutem, życząc do zobaczenia po tamtej stronie. Omal nie dodał "w salach Izosa", w ostatniej chwili gryząc się w język. Nie trzeba było dodatkowych ciosów w i tak ciężkie nastroje. Bronili odcinka arkadowego muru przed pałacem senatu, jednego z najpiękniejszych miejsc Miasta, skąd roztaczał się widok na ogrody z fontannami i przestronne tarasy, ukwiecone o tej porze roku białymi i fioletowymi pnąciami. Tu w jakże odległych czasach – przed kilkoma tygodniami – przechadzały się pary zakochanych, matki przyprowadzały tu dzieci, a adepci pobliskiej Akademii Alchemicznej

przesiadali na ławkach, otoczeni przez zwoje papieru i kolorowe flaszki. Wybrał to miejsce jednak nie ze względu na widoki, a dlatego, że wąskie przejście w podcieniach nadawało się do długiej obrony.

Sądził, że będzie się bał. Że ogarnie go żal czy smutek za żegnanym zbyt wczesnym życiem. Ale nie czuł nic. No, może jedynie coś jak przygnębienie i przebijające się przez wszystko poczucie obowiązku.

Nadeszli z pierwszymi promieniami słońca. To był mieszany oddział, ludzie i potwory, osłaniający się nawzajem. Zmutowane istoty podchodziły pod ich klingi, odbierając cięcia na zrogowaciałą tkankę, gdy ich ludzcy kompani zadawali ciosy lub strzelali z bliska, błyskawicznie chowając się za osłoną potworów. Hetajrowie nie byli szkoleni w utrzymaniu szeregów, nie ćwiczyli taktyki zastępowania w linii, nie umieli chronić sobie nawzajem ramion. Walczyli więc jak umieli, spektakularną szermierką uzupełniając ostrzał łuczniczy i rzucających kamieniami mieszczan, którzy do nich dołączyli. Walka o kilka metrów arkadowego podcienia, walka, o której nikt nigdy nie usłyszał i nie opowiedział, trwała do późnego popołudnia.

Hetajron z pięcioma towarzyszami wycofał się w kierunku schodów Senatu. Zanim przebyli dziedziniec, zostało trzech. Nie pobiegli do złoczonej bramy z wielkim herbem Messyny, ale w bok, do wąskiego przejścia na tyły budynku, zostawiając bramę atakującym. Towarzyszy zgubił gdzieś w okolicy placu Flaminów, gdzie również trwała potyczka, do której się dołączyli na dłuższą chwilę. Jednak ustępujący z pozycji piechurzy z I. lokos wycofywali się w kierunku cytadeli, więc pobiegł za nimi, ale na wysokości pomnika Eutychusa trafili na przeciwnika. Tym razem nie były to tylko żywe istoty. W ślad za czworonożnymi ulundo, które wbrew prawom fizyki biegły ku nim, odbijając się od ścian kamienic, pełzł ulicą płomień. Hetajron przez ułamek sekundy, między jednym a drugim mechanicznie zadawanym ciosem, dostrzegł na końcu ulicy sprawcę ognia. Nawet z tej odległości dostrzegał bliznę na jego twarzy, poparzenie od linii gładko zaczesanych jasnych włosów, aż do brody, przyciętej równo na wergundzką modłę. Za nim szli mężczyzna i kobieta na czele licznego oddziału bojowego, złożonego z samych ludzi. Człowiek z blizną unosił dłonie, a z końców jego palców wystrzeliwał czerwony jęzor ognia, krusząc tynk na ścianach kamienic i popieląc ciała poległych. I to był ostatni widok, jaki hetajron dostrzegł tamtego dnia. Władający płomieniem człowiek dostrzegł go na sekundę po tym, jak dostrzegł go ulundo, który potężnym ciosem łapy zwałił z nóg, pozbawiwszy przytomności.

Ocknął się z powodu zimna. Dygotał tak, że uderzające o siebie zęby zagłuszały mu jakikolwiek inny odgłos. Zanim opanował będący pod wpływem szoku organizm, z wysiłku zemdlął powtórnie i obudził go cios w twarz. Adrenalina zrobiła swoje, przed drugim się zasłonił. Nagła fala strachu, że został pojmany w niewolę, poderwała do działania wszystkie mięśnie i wymagało dobrej chwili, zanim zorientował się, że ten, kto go uderzył, to oficer, enomarch z czternastej pontekostii, tej samej, z którą bronili sąsiadujących odcinków muru Dolnego Zamku. Najwyraźniej próbował go ocucić. Rzut oka dookoła upewnił go, że jest wśród swoich. Zanim wyartykułował sakramentalne "gdzie jesteśmy", musiał usiąść.

- Kanał burzowy pod cytadelą – odpowiedział na niezadane pytanie enomarch.

- Cytadela...? – stęknął z wysiłkiem, zauważając zaschniętą limfę po poparzeniu na prawym policzku.

- Padła. Doreus poległ przed bramą cytadeli, ach, trzeba było widzieć tą jatkę, jaką urządziła tam Varanga... Komnen Varangi, dowódca gwardii, poległ wraz kratistosem. Zginęli wszyscy w Górnym

Zamku, senatorowie, logoteci, dowódcy sztabu, drungarior wraz z gwardią miejską polegli przy bramach Zamku.

- To koniec – odezwał się stojący obok siwy człowiek w płaszczu urzędnika. Mówił również z trudem, przytrzymując dłońmi brzuch – Miasto przestało istnieć. Na górze wszystko płonie.

- Ty kto? – wydusił hetajron – I co ci?

- Godilias Helias, palates Miasta, zarządca pałacu kratistosa. Zdaje się, że w chwili obecnej jestem najwyższym przedstawicielem senatu Miasta – uśmiechnął się – w każdym razie jeszcze przez chwilę – odjął rękę od ciała, ukazując obszerną ranę w podbrzuszu, z której przez rozciętą togę sączyła się ciemna krew. Hetajron zerwał się do salutu, ale zanim zdążył przyłożyć pięść do piersi, opadł z powrotem na ziemię.

- Musimy cię stąd...

- Daj spokój – uśmiechnął się palates, wtórując fuknięciu enomarcha z czternastej – Umrę wraz z Miastem. Posłuchajcie mnie! – na jego wezwanie ludzie pochylili się i przysiedli obok, hetajron dostrzegł, że było ich tu co najmniej siedmioro lub ośmioro, żołnierzy, mieszczan, urzędników. Wszyscy poranieni, ale żywi – Posłuchajcie, dwadzieścia kroków w tamtą stronę jest wjazd na dolny poziom, od spodu wjazdu znajdziecie plan kanałów, odcisnięty w miedzi. Wydostaniecie się nimi na północną stronę Miasta. To jest rozkaz Senatu – powiedział podniesionym głosem, widząc ich pełne sprzeciwu i protestu reakcje – To jest rozkaz Senatu. Bo Miasto padło, a wy macie ocalać. Nawet jeśli ocaleje jeden, poniesie w sobie Miasto po drogach wygnania. On będzie Miasto – zakończył szeptem słowami prastarego poematu – On będzie Miasto.

Wzruszenie zwyciężyło w tamtej chwili nawet śmiertelną słabość, nawet znużenie po całodziennej bitwie. Gdy wspominał potem tamtą chwilę, zupełnie zapomniał, że płakał na kolanach nad ciałem starca, w głos, nie mając siły wycierać twarzy i nosa nawet rękawem, nie pamiętał bólu połamanych żeber ani tego, że zgubił gdzieś oficerski koncerz. Wydawało mu się, że dumnie wstał i oddał senatorowi salut na miarę chwili, a gdzieś w tle dała się słyszeć melodia kołysanki, jaką śpiewała mu matka w kamienicy na Białogrodziu, północnej dzielnicy Miasta. Albo bardzo chciał tak właśnie pamiętać tamtą chwilę.

Wydostali się z kanałów wszyscy. Widzieli płonąca cytadelę i opadający wolno w dół proporzec Messyny, który zastąpił wielki sztandar ze smokiem na szczycie pałacu Senatu. Na gruzach pałacu. Cały Góry Zamek zmienił się w jedną wielką stertę gruzu. Widzieli wielką armię, idącą na wschód, na Tulos, które jak się dowiedzieli, jednak istniało, pomimo wielkiej klęski pod Ardeią. Bogini iluzji.... Po kilku tygodniach doszła do nich wiadomość, że Tulos oddało koronę. Istniała też Korathia, pomimo tego, że otworzyła bramy i poddała się bez walki i istniało Itharos, przeistoczone w twierdzę wroga. Arethyna nie ruszyła z pomocą żadnemu z miast.

Hetajron wrócił w jedyne miejsce, gdzie mógł – do majątku swojej rodziny w Srebrnogórze, do zrujnowanego przez buszujące w poszukiwaniu zaopatrzenia oddziały Tavar zamku na szczycie Szpicgóry, sąsiadującego ze zniszczoną ogniem świątynią Izosa., Dziedzic senatorskiego rodu Messyny, słynącego ze swoich stadnin, Theo Syagirus ev. Tynagiron.

...

Po uroczystościach na mogiłach rytm życia w Velidzie i Srebrnogórze wracał do normy. Mieszkańcy odbudowywali to, co spłonęło w ogniu wojny, walcząc uparcie o powrót do stanu sprzed chwili, gdy z dniem Czarnego Słońca to wszystko się zaczęło. Nie wiedzieli i nie miało to dla nich żadnego znaczenia, że czas zniszczenia zaczął się dużo wcześniej. Ale byli tacy, którzy wiedzieli.

Dwóch z nich obserwowało idący przez lasy na górze Kapliczce nocny pochód.

- Dużo czasu minie, zanim te rany się zabliznią – odezwał się jeden z patrzących, spod kaptura nikt w ciemności nie dostrzegłby jego twarzy.

- Dziwisz się? – druga z obserwatorów była kobietą o aksamitnym, niskim głosie – Krzywdy, jakie wyrządzamy sobie nawzajem, są niepojęte, ale to, co dzieje się, gdy ludzie stają się trybikami w machinie walk bogów...

- W tą machinę nikt nie powinien pchać palców.

- Jednak to śmiertelnicy zdecydowali o śmierci boga. Choć inna bogini go uśmierciła. Ryzykując, swoją drogą, własne drogocenne życie.

- Wiesz to już na pewno?

- Tak. Widzisz, na gruzach zniszczonego Izajonu znaleźliśmy odpowiedź. Właściwie pod nimi. Kryptę. Z małą trumienką. Izos w swojej pysze, zajęty sprawami wielkich, zapomniał o prośbie swojego kapłana. I zignorował rozpacz ojca, któremu umiera dziecko.

- Dziecko Dukmenidesa, flamina z Izajonu...?

- Umarło mu na rękach przed ołtarzem milczącego bóstwa. Więc sprawił, że bóg go usłyszał. I oddał się w służbie tej, która pozwoliła mu dokonać zemsty.

- Mów co chcesz – mężczyzna westchnął – Ale ten świat czasem mnie przeraża. W całym tym chaosie ważne, abyśmy my dochowali paktu.

- Ale Izos nie istnieje.

- To nas nie zwalnia ze słowa.

- To prawda – przyznała kobieta po namyśle – I dochowamy paktu, tym bardziej, że nikt nie ma pojęcia, gdzie są wszystkie Łzy. A tym czasem – uśmiech był wyraźnie słyszalny w jej głosie – czas wojny ma swoje dobre strony.